

Augustyn

Antoni Dobrowolski "Kruk".



Byłem żołnierzem 6 Brygady wileńskiej por. "Tońki". W początkach 1944 r. zostałem ranny w nogę w związku z czym odszedłem na kwatereę leczyć się. Do Brygady dołączyłem w dniu, w którym nasi dowódcy zostali aresztowani na odprawie w Boguszach. Nie wyleczyłem się całkowicie, cały czas chodziłem o lasce. Wieczorem tego samego dnia nasza Brygada jak i szereg innych oddziałów przeszła do Puszczy Rudnickiej. Tu płk. Strychański rozpuścił żołnierzy. Kto ^c chciał mógł iść do domu. Postanowiłem się trzymać swego dowódcy - "Tońka" - Boryczki. Grupą około 200-250 ludzi przeszliśmy do Puszczy Ruskiej. Tu grupa nasza stopniała do ok. 100-150 ludzi.

Gdzieś w końcu lipca "Zygmunt" - Błażejewicz, d-ca II plutonu w mojej kompanii /ja byłem d-cą III plutonu/ zaproponował "Tońkowi", żeby pozwolił na utworzenie niewielkiej grupy, która spróbowałaby przebiec się na zachód. Chodziło o to, że w Puszczy Ruskiej zebrano się dużo partyzantów z różnych oddziałów, zrobiło się więc ciasno i należało się liczyć z tym, że prędzej czy później Rosjanie otoczą Puszcze i dojdzie do walki z nimi. Początkowo sądownowaliśmy możliwość przejścia na zachodnią stronę Niemna, ale było to zbyt trudne, gdyż wszystkie wioski wzdłuż Niemna były zajęte przez Ruskich a wszystkie łódki były zabrane. Dowódca zrezygnował więc z tej koncepcji i zgodził się na propozycję "Zygmunta".

Na ochotnika zgłosiło się do tej grupy 15-tu ludzi. "Zygmunt" został dowódcą a ja jego zastępcą. Naszym zadaniem było dotarcie w okolice Warszawy i przez łącznika przesłanie wiadomości do Brygady o trasie i nawiązanych kontaktach. 29 lipca rano spotkaliśmy się jeszcze z żołnierzami ze ~~z~~ zgrupowania "Frycza" - Święcickiego a ~~w~~ ^{po południu} rozstaliśmy się z macierzystym oddziałem w okolicy wsi Pohoręda. Przekroczyliśmy Niemen i przeszliśmy w okolice Augustowa. W leśniczówce Hanus postrzelaliśmy się z Ruskimi. Jed-

nego z naszych zkapali, jeden zaś odłączył się od oddziału.

Potem szliśmy przez jakieś błota. To było straszne. Następnie po różnych perypetiach weszliśmy do dębowego lasu. Noc była tak ciemna, że jeden trzymał drugiego za pasek na plecach. Szedłem z przodu jako pierwszy, gdyż miałem dużą, dobrą, busolę sowiecką lotniczą na ręku. W tych ciemnościach wleźliśmy na sowiecką czujkę: Stoj! Kto idiot? - nagle usłyszeliśmy. - Swoj - odpowiedziałem automatycznie, przyzwyczajony do takich odpowiedzi. - Kto swoj - Rosjanin był nieufny. - Równie automatycznie odpowiedziałem: Kakoj durak spraszyszajet? Kak swoj, tak swoj - i nie zatrzymując się poszliśmy do przodu. 6-ciu jednak odłączyło się od nas, jeden z nich musiał prawdopodobnie puścić pasek przewodnika, i wycofali się. Dopiero po wojnie spotkałem jednego z tych chłopaków, który opowiedział mi co się z nimi działo później. Mieszka w Warszawie.

My w tym czasie przeszliśmy przez środek sowieckiego obozu, mineliśmy stos skrzyń zawierających pociski artyleryjskie i wyszliśmy na drogę. Zobaczyliśmy tu małe światełko. Był to prawdopodobnie jakiś punkt dowodzenia. Na skraju drogi usłyszeliśmy: Stoj! Kto idiot? - Swoj? odpowiedziałem niemal już machinalnie. Parol - Rosjanin był jednak ostrożny. No jak parol to trzeba było brać nogę za pas i rzuciliśmy się biegiem przed siebie zupełnie na ślepo. Biegliśmy przewracając się, obijając się, między samochodami i ~~xx~~ ludźmi. Jakoś przedarliśmy się, ale za to pogubiliśmy się definitywnie. Zostałem tylko z "Zygmuntem". W bardzo paskudnym nastroju poszliśmy przed siebie. Po przejściu kilku kilometrów ^{gdy} zrobiło się już całkiem widno, znaleźliśmy się w jakimś niewie~~xx~~skim lesku. Mijaliśmy właśnie jakąś kupę chrustu, gdy z pomiędzy krzaków wyszła zagubiona grupa 5-ciu chłopaków. Znowu było nas 7-miu.

W gajówce Budziska zostaliśmy ugoszczeni przez gajowego wręcz wspaniale, gdyż sowieci zostawili zastrzelonego żubra. Podjęto nas więc doskonałą pieczęcią. Stamtąd dotarliśmy w okolice wsi Patrykł kłopoty koło Siemiatycz. W czasie tej drogi natknęliśmy się na lotnisko, gdzie lądowały samoloty francuskiej jednostki lotniczej "Normandie - Niemen". To była druga połowa sierpnia.

Przechodziliśmy też koło Lubina, gdzie jeden z naszych zamienił mundur na cywilne ubranie. Pod koniec dostaliśmy okropnej biegunki i ostatnie dwa dni to już ledwie wlekliśmy się zupełnie wycień- czeni chorobą.

W Patrykłopotach przyjęto nas bardzo dobrze. Prawie cała wieś to byli sami Kłopotowscy. Mieszkańcy sami zaproponowali nam, że dostarczą nam cywilne ubrania. Rozłożyliśmy się w jakiejś stodole. Wieczorem przyszli gospodarze i ustaliliśmy, że zostajemy w tej wsi. Byliśmy tam kilka dni. Porozchodziliśmy się po różnych rodzi- nach. Ja byłem ze "Swistem" - Gillernem /jest teraz w Warszawie/ zatrzymaliśmy się u Władka Kłopotowskiego, którego nazywano Ślepy Władek, który faktycznie był ślepy.

Gdy po kilku dniach stanęliśmy na nogi umówiliśmy się, że roz- dzielimy się po kilku i każda grupa będzie w innej wsi. "Zygmunt" z "Wiktorem" znaleźli się we wsi, która nazywała się chyba Wierek- cień Duży, "Swist" siedział chyba w Blachówce, "Kisak" i "Oskot" gdzieś indziej a ja zostałem u tego Władka. Tu siedziałem do późnej jesieni. To było bezdzietne małżeństwo. Władek stracił oczy rozra- biając wapno niegaszone. W tej wsi zamelinowałem też broń. Pomaga- łem gospodarzowi w pracy na polu. Niedaleko był mały folwarczek, którego właściciela poznałem niebawem. Miał bibliotekę, chodziłem więc do niego często i pożyczałem książki. To był chyba nauczyciel albo pracownik gminy.

Moje uzbrojenie to było niemieckie empi, do niego 6 magazynków schowanych w dwóch futerałach, pistolet belgijski FN, kal. 9 mm, kilka granatów, mapnik, busola, lornetka. Reszta chłopaków miła ^a sowieckie 10-ki, "samozariadki" i karabiny "Mauzery". Było też kilka automatów.

Przez właściciela tego folwarczku nawiązałem kontakt z narodowcami. Doszło do luźnego spotkania, ale nic z niego nie wynikło. Rozmawiałem z jakimiś cywilami.

Gdy w listopadzie pędziłem samogon za zagrodą nad brzegiem strumyczka, to był wieczór, gdy przybiegł jakiś dzieciak i ostrzegł mnie, że u władka są Ruscy ~~x~~. W tym samym czasie do tej wsi, gdzie byli "Wiktor" i "Zygmunt" również przyszli sowieci szukając ich. Prawdopodobnie ktoś zasypał nas. Nikogo jednak nie złapali. Ja przeniosłem się do samotnie stojącego gospodarstwa Płonowskich w sąsiedniej wsi, ale nie pamiętam jej nazwy. Była ona położona ~~jakieś~~ 6-8 km od poprzedniej mojej wsi. Tutaj pracowałem przez ~~kilka~~ tygodni ~~niezłapany~~ Młóciłem cepem, karmiłem owce, razem z gospodarzem kradliśmy drzewo z lasu. Pamiętam post u niego. Cały czas jedliśmy tylko kluski z olejem. To było ~~k~~ okropne. Któregoś dnia, to było tuż przed Bożym Narodzeniem lub tuż po, przyszedłem na obiad do chałupy - gospodarza nie było, tylko gospodyni krzątała się przy dziecku - gdy otworzyły się drzwi i do środka weszło dwóch żołnierzy polskich. Zaczęli się pytać gospodyni o mnie, kto ja jestem. Kuzyn - odpowiedziała kobieta, a ja nie miałem żadnych dokumentów i chodziłem nadal o lasce. Pojedziesz z nami - usłyszałem. Kazali mi się zbierać. Na moje szczęście zainteresowali się stojącym na podwórzu zbiorniczkiem do odstawiania mleka i śmietany - popularne wówczas na wsi urządzenie - w którym znajdował się bimber. Pokrywka była mocno jakoś

zamknięta i ci żołnierze zaczęli się z nią mowować. Ja właśnie kończyłem jeść, przeszedłem więc z miską do kuchni, zobaczyłem, że byli ~~swój~~ nadal pochłonięci otwieraniem zbiorniczka, wyskoczyłem więc na podwórze i pobiegłem rowem, który ciągnął się tuż za ogrodzeniem wystarczająco daleko, by stracili mnie z oczu. Jak później się dowiedziałem, gdyż zaszedłem po kilku dniach do gospodarzy, ci żołnierze rzucili się w pościg za mną, ale pobiegli w stronę niewielkiego lasu, który przylegał do ogrodzenia z drugiej strony. Wiedziałem, że tak będzie, więc darowałem sobie ten las.

Przez następnych kilka tygodni pętałem się ^{okolicznych} po wsiach od jednego gospodarza do drugiego pomagając im na gospodarce. Jedną z wsi miała w nazwie również Kłopoty. Przebywałem tam u gospodarza, którego przezywano "amerykaniec", gdyż przed wojną wrócił z Ameryki i był bogaty. Pomagałem mu młócić zboże na młocarni. Gdy którejs nocy spałem w chałupie usłyszałem walenie w okno. Przyszli partyzanci. Początkowo myślałem, że to może znowu jaka grupa operacyjna, ale szybko wyjaśniło się, że to swoi. Zatrzymali się w kilku chałupach. Byli wśród nich właśnie "Bitny" i "Orzeł". Po przyjrzeniu się im doszedłem do wniosku, że możnaby się do nich przyłączyć. Omówiłem tą sprawę z dowódcą oddziału, którym był por. Zieliński lub Ziółkowski. Na tyle zdobyłem ich zaufanie, że gdy poprosiłem ich, żeby puścili mnie po broń do Patrykłopotów, puścili mnie. To było koło południa. Broń miałem zameldowaną u właściciela folwarczku koło tej wsi. Wróciłem pod wieczór zameldowałem się i tak zostałem członkiem tego oddziału.

Oddział w tym czasie liczył około 20-30 ludzi, wszyscy pochodzili z okolicznych wsi. Była bardzo duża rotacja członków oddziału. Ludzie ciągle przychodzili i odchodzili, niemniej jednak oddział

stale powiększał się. Nowych członków uczono posługiwania się bronią, pełnili służbę wartowniczą, uczono ich też trochę topografii. Bardziej doświadczeni partyzanci mieli pogadanki, w czasie których przekazywali swoje doświadczenia. Duża rotacja spowodowana była także tym, że ~~nie~~ wielu ludzi zwalniało się do domu ~~na~~ w celu pomocy swym rodzicom na gospodarce, wykonania jakichś określonych prac.

Chociaż byłem obcy w tym środowisku dosyć szybko zdobyłem sobie mocną pozycję. Było to tym bardziej łatwe, że miałem za sobą już półtora roku partyzantki, nie byłem więc zielony. Nie byłem jednak wprowadzany w sprawy terenu. Nie podobały mi się liczne egzekucje, a to' jakiegoś sklepikarza czy milicjanta, potem następnego milicjanta. Właśnie w dniu, w którym dołączyłem do oddziału wiem że była wykonana egzekucja na jakimś sklepikarzu. To była pierwsza połowa stycznia.

Poruszaliśmy się zwykle w nocy. Na większe odległości braliśmy furmanki, a najczęściej maszerowaliśmy pieszo. Oddział był słabo uzbrojony - jakiś jeden erkaem "Dieltar" tylko. ~~W~~ Niedługo po moim dołączeniu do oddziału zostałem wysłany z ~~par~~ grupą chłopaków /ok. 10-ciu/ na patrol do jakiejś wsi. W jednej z chałup stojących na skraju natknęliśmy się na dwóch żołnierzy LWP. Jednym z nich był "Puchar". Okazało się, że w budynku w środku wsi było jeszcze kilkunastu żołnierzy. Ci dwaj postanowili przyłączyć się do nas i pomóc nam w rozbrojeniu pozostałych. Podeszliśmy tam skrycie i otoczyli budynek, po czym ja z jednym z chłopaków weszliśmy do środka i kazaliśmy wszystkim podnieść ręce do góry. Wszyscy uczynili to posłusznie. Nikt nie stawiał najmniejszego oporu. W ten sposób zdobyliśmy 10 czy 12 karabinów.

Jako, że akcja ta przebiegła tak sprawnie i bez najmniejszych trudności nabraliśmy ochoty na przeprowadzenie kolejnej. Gdy "Pu-

char" dołączył do nas to był koniec marca lub początek kwietnia, gdyż śniegu już nie było ale chodziliśmy ubrani ciepło. Puchar na przykład był w wojskowym ciepłym szynelu. To był wysoki chłop.

Postanowiliśmy więc przeprowadzić kolejną taką akcję i w jednej ze wsi otoczyliśmy w nocy posterunek MO i rozbroiliśmy milicjantów bez najmniejszych z ich strony trudności. Zdobyliśmy 3-4 karabiny. Na odchodnym komendant posterunku prosił nas jeszcze żebyśmy odchodząc postrzelali trochę po oknach posterunku, żeby stworzyć wrażenie żeśmy zdobyli posterunek po jego zaciętej obronie. Wychodząc wrzuciłem więc do środka granat*u* i chłopaki puścili po oknach jedną czy dwie serie.

Oddział rósł wyraźnie w siłę. Por. Zieleniewski - jak to dzisiaj pamiętam- nie trzymał się jednak blisko oddziału. Odnoszę wrażenie, że raczej był związany z siatką. Mieszkał we wsi, w której na rozstaju dróg stał drewniany krzyż. Jego rodzice, albo jego żona i dzieci zostały rozstrzelane w czasie okupacji niemieckiej.

W końcu zdecydowaliśmy się zrobić skok na Siemiatycze. Tak jak wspomniałem nie wnikalem w sprawy terenu, natomiast wszystkie sprawy o charakterze wojskowym przeszły na mnie. ~~Raz~~ Wspomnianymi wyżej akcjami dowodziłem właśnie ja i tak było i tym razem. Opracowałem plan, który następnie oddział wykonał. Jedyna różnica to była taka, że wspomniany wyżej posterunek MO zrobiliśmy w nocy, a Siemiatycze opanowaliśmy w dzień. Wszyscy już wtedy byliśmy umundurowani, bo mundury mieliśmy od żołnierzy, których rozbroiliśmy. Najpoważniejszą przeszkodą do pokonania w Siemiatyczach był posterunek MO, który był dosyć silny, gdyż obsadzony był przez kilkunastu milicjantów. Postanowiłem więc, że kilku z nas będzie udawać patrol KBW. Zjawiliśmy się we trzech czy we czte-

rech~~zech~~ na posterunku, który położony był wówczas na skraju miasteczka. Kazałem dyżurnemu zameldować mi się. Gdy to zrobił kazałem zrobić zbiórkę, gdyż urządzamy obławę na partyzantów. Kilku milicjantów było na miejscu, kilku zaś rozeszło się wcześniej po wsi, więc szybko sprowadzono ich. Mieszkali niedaleko. Dowódcy tylko nie mogli znaleźć. Kazałem więc wszystkim ustawić się w środku posterunku w szeregu i podałem komendę: Odlicz sam zaś stanąłem obok kozłów z bronią. Gdy zakończyli odliczanie kazaliśmy im podnieść ~~ra~~ ręce do góry. Byli kompletnie zaskoczeni ~~nie~~ wykonali więc rozkaz posłusznie. Gdzie komendant? - zapytałem. Okazało się, że jest najprawdopodobniej u ~~swój~~ kochanki. W tym czasie oddział opanował już całe miasteczko, poszedłem więc szukać tego komendanta, którego znalazłem śpiącego w jakiejś chałupie. Razem ze mną było chyba dwóch żołnierzy. Był już zm~~ok~~ i wystraszony. Komendant również był kompletnie zaskoczony, tym bardziej, że był chyba po jakiejś większej wódce. To był 40-tokilkuletni mężczyzna. Zabraliśmy go na posterunek. W międzyczasie inna grupa rozbiła gminę. Przybiegł też do mnie goniec~~xxx~~ z meldunkiem, że w jakimś domu bronią się Żydzi. Byłem tym kompletnie zaskoczony, bo coś takiego nie było w ogóle przewidziane, żeby atakować jakichś Żydów. Poszedłem więc na to miejsce czym prędzej. Dom był murowany. Kilku naszych chłopaków stało na zewnątrz, kilku było w środku na dole. Schody prowadzące na górę były zabarykadowane. Kazałem czym prędzej przerwać tę całkiem bezsensowną akcję i wycofać się, bo jakież miało sens atakowanie bogu ducha winnych cywilów. Mijając sklep spółdzielni widziałem jak chłopaki wynosili stamtąd towar i ładowali do na furę. Zabraliśmy broń i przez nikogo nie niepokojeni wycofaliśmy się. X To był już koniec kwietnia lub początek maja.

Oddział wzrósł w tym czasie

Oddział wzrósł w tym czasie do 50-ciu ludzi. Formalnie dowodził nim por. Zieliński czy Zieleniewski, a faktycznie dowodził nim jax w stopniu plutonowego podchorążego. W tym czasie przymierzaliśmy się do zrobienia akcji chyba na Boćki. Pamiętam, że ~~jedną~~ w czasie jednego z przemarszów padał duży deszcz. Była noc. Dotarliśmy do jakiejś wsi bardzo zmęczeni długim marszem i kompletnie przemoczeni. Wieś położona była nad rzeczką, która była może jednym z dopływów Nurca, może był to sam Nurzec?. Położona była równolegle do rzeki. Jak później zorientowałem się było tu dość dużo ludności białoruskiej. Gdy przyszedliśmy na kwatery, rozstawiliśmy warty i położyliśmy się spać. Nad ranem obudziła nas strzelanina. Byliśmy już całkowicie otoczeni. Na początku chcieliśmy spróbować przebić się do rzeki, ale ~~xxx~~ w nocy, w wyniku tej ulewy, rzeczką zamieniła się w dużą rzekę i było niemożliwe sforsowanie jej. Pozostała więc nam ~~obrona~~ okrężna.

Wieś nie była duża. Liczyła kilkanaście domów. Moja kwatera była na jej skraj, a strzały usłyszałem na jej drugim końcu. Uzbrojeni w tym czasie byliśmy już nieźle, gdyż było kilka erkaemów. Mieliśmy też nieprzestrzelany lotniczy cekaem, kal. 20 mm. Był wymontowany z zestrzelonego sowieckiego samolotu. Nie miał jednak podstawy, nie mogliśmy więc z niego korzystać. Trafiał do oddziału chyba przez siatkę.

Po jakiejś godzinie ogniowej nawały por. Zieliński wysłał jedną drużynę, żeby spróbowała się przebić. Próba nie powiodła się jednak. Chłopaki cofnęli się. Ogień nasilał się. Płonęło już kilka zabudowań. Wówczas zgłosiłem się do dowódcy, że ja spróbuję przebić się przez pierścień obławy. Za wsią biegło pole porośnięte niskim jeszcze zbożem. W odległości jakichś ¹⁵⁰⁻²⁰⁰ 100-150 metrów zaczęły się krzaki, a potem zagajnik.

Na wzniesieniu z prawej strony był ustawiony cekaem, który miał nas pod obstrzałem a z prawej strony ustawione były brkaemy, które grzały jak cholera. Ale tylko tutaj mogliśmy liczyć na przerwanie pierścienia obławy. Posuwaliśmy się skokami. Było nas tylko kilku ochotników. W końcu udało nam się pod ogniem dobiec do tych krzaków, zawinęliśmy skrzydła, uciszyliśmy cekaem i broń maszynową z tego wzniesienia na tyle, że za nami zdążyło jeszcze wydostać się kilkunastu chłopaków. Łącznie uratowało się nas 21. Jeden jednak był ranny w brzuch. Pamiętam, że podawał się za kapitana czy rotmistrza - co było chyba nieprawdą - i pochodził podobno ze Lwowa. Początkowo nieśliśmy go, potem chcieliśmy zostawić go w krzakach i po znalezieniu kryjówki wrócić po niego, prosił nas jednak bardzo, żeby go nie zostawiać, i szedł więc o własnych siłach podtrzymywany tylko przez dwóch chłopaków. Udało nam się odskoczyć.

W pałacej się wsi zginęli m.in.: nasz dowódca, "Łuk" - żołnierz który miał amputowaną jedną rękę wysoko za łokciem, stracił ją w czasie okupacji niemieckiej postrzelony w jakiejś akcji - leżał wówczas długo w życie i załęgły mu się robaki i musiał ją amputować. Jak wróciłem później do tej wsi dowiedziałem się, że właśnie "Łuk" nie chciał uciekać i razem z jeszcze jednym partyzantem bronili się w pałacej się chałupie do końca. Zdwóch braci "Pantera" poległ a "Huk" dostał się do niewoli.

W końcu w jakiejś wsi znaleźliśmy kwaterę i zaraz posłaliśmy po lekarza. Ten jednak przyjechał dopiero następnego dnia i stwierdził, że sytuacja jest całkowicie beznadziejna i na drugi dzień czy może trochę później lwowiak zmarł. Znowu więc odskoczyliśmy stamtąd i od tej pory to już było tylko takie pakowanie się po lasach dla zachowania ludzi, którzy nie mieli co robić. Pozostali - pamiętam - "Bitny", "Puchar", "Zgrzyt", chyba "Głuszc",

"Orzeł", z którym miałem małą scysję, gdyż "Orzeł", trochę był po tym wszystkim podłamany, miał dosyć tego wszystkiego i chciał odejść z oddziału, jako, że jednak był podoficerem chyba prosiłem go, żeby ze względu na sytuację w oddziale, jego morale nie było wtedy najlepsze, nie odchodził. Ludzie jednak zaczęli powoli odchodzić z oddziału, tak, że w pewnym momencie stopniał on do 4 tylko ludzi.

Pamiętam jeszcze z samych początków mojej działalności w tym oddziale jak razem z "Głuszcem" i "Bitnym" zostaliśmy wysłani na północ, w ~~skx~~ Łomżyńskie czy też w okolice Ostrowi Mazowieckiej dla nawiązania ~~kontaktów~~ kontaktu z komendantem okręgu "Mieczem". To był styczeń albo luty. Zima. W jednej ze wsi rozłożyliśmy się na kwaterę. Czuję się podle, bo byłem zaziębiony. Raptem ktoś zgłosił się, że "Czarny" chce dołączyć do oddziału. Nic mi wtedy nie mówiło kto to taki. Okazało się, że to był partyzant ^{który} jeszcze chodził za niemieckich czasów i za jakieś przewinienie został wykluczony z oddziału i rozpoczął bandycką działalność. Zastrzelił jedną osobę, potem następną a w końcu wybił całą rodzinę jakiegoś krawca: jego, żonę i dwoje małych dzieci, z których jedno było jeszcze w kołysce. I to chyba "Głuszcem" albo "Bitny" powiedział, że on chce dołączyć do oddziału. ✕

J.K

Właśnie w tej wsi spotkaliśmy się z naszym dowódcą /Miesz - ?/
Dowiedziałem się, że mamy przyjąć tego gościa i rozbroić go. "Czarny" przyszedł w końcu. To był chłopak lat 20-cia, szczupły, w kożuchu długim. Cześć - Cześć przywitał się zadowolony z "Bitnym" i "Głuszcem", których widocznie znał bardzo dobrze. Po jakimś czasie dostaliśmy rozkaz, żeby przyprowadzić go do dowództwa. W czasie gdy prowadziliśmy go ~~przez~~ złapaliśmy go nagle pod rękę, wykręciliśmy mu je do tyłu i rozbroiliśmy szybko. Zabraliśmy pistolet

i jeden czy dwa granaty. Nie strzelajcie chłopcy - proszę nas. Po tym ja zawróciłem z powrotem a "Głuszek" i "Bitny" poprowadzili go do dowódcy. Wrócili po jakimś czasie. Okazało się, że został wydany na niego wyrok śmierci. Posadziliśmy go na sanie i pojechaliśmy za wieś. Była mroźna noc. Pytaliśmy się go dlaczego zabił te dzieci. Tak, zabiłem - przyznał się - musiałem zabić. Z jego relacji wynikało, że w kilku przyszli do tego krawca, żeby zabrać mu maszynę do szycia, którą komuś tam mieli oddać. W czasie gdy byli w środku, ten kto ~~na~~ "nadał" im tę robotę, czy też kto inny wszedł do izby i krawiec poznał go. Nie było więc innej rady i musieli zastrzelić krawca. Gdy to zrobili to oczywiście jego żona zaczęła krzyczeć, wyrwać się więc i ją zastrzelili - noto małe dzieci same zostawię? - tłumaczył "Czarny" i zastrzelił je. Ja uciekać nie będę. Wiem, że to już mój koniec. Słuchajcie chłopcy, poczekajmy, porozmawiajmy jeszcze trochę - próbowałem odwlecz ostatnią chwilę. Któremuś z nas dał złoty zegarek, żeby oddać go jego ojcu. Zatrzymaliśmy się przy jakiś^{ch} krzakach i jeszcze chwilę rozmawialiśmy. Nie myślcie, że ja się boję - ten ostatni moment był taki nieprzyjemny, to przeciąganie z jego strony. W końcu "Bitny" powiedział: No, chodź, idziemy - i zaprowadził go w krzaki bez żadnego ze strony "Czarnego" oporu i tam go zastrzelił.

Była już wiosna, ciepło, gdy ~~starsi~~ znaleźliśmy się w jednej ze wsi, w której nazwie była chyba Wielka. To była duża wieś. 1 km od niej, w lasku było gospodarstwo "Zakieta", którego często widywaliśmy, bo to był punkt kontaktowy. Tam przyjechały dwie panie z Komendy Okręgu na inspekcję sanitarną. Jednak z nich nazywała się "Wanda", jak później w rozmowie ze mną powiedziała jej prawdziwe imię było Basia. Mówiła, że była w Brygadzie Świę-

tokrzyskiej. Wanda miała około 25 lat. Druga miała około 35 lat. Była nauczycielką i pełniła funkcję szefa sanitarnego. Dałem im do obstawy patrol i one jeździły po punktach sanitarnych i sprawdzały zaopatrzenie itp. Potem przyjechał ktoś z Okręgu i zaproponował mi zdanie egzaminu na oficera, na podporucznika. Dostałem trochę podręczników, niektóre wydane były chyba w konspiracji - był chyba regulamin piechoty. Łącząc z oddziałem od czasu do czasu trochę uczyłem się i później czy mnie wezwali czy przyjechali do mnie dość, że zdałem ten egzamin. Trzech dżentelmenów egzaminowało mnie i w efekcie dostałem bumażkę na podporucznika. Potem dostałem kolejną "bumażkę" na Krzyż Walecznych za wydostanie się wraz z chłopakami z tego okrążenia. To był już mój trzeci KW.

Po tym wyjściu z okrążenia dostaliśmy zakaz podejmowania większych akcji i od tego czasu nic już prawie nie robiliśmy. Oddział topniał. Ludzie odchodzili do domów. Był moment, że zostało nas 3 czy 4-ech. Do końca trzymałem się ze "Zgrzytem". To był chłopak z Milanówka. Po Powstaniu Warszawskim wylądował na białostoczczyźnie. Miał 18 lat. Był jakby takim moim adiutantem. W końcu otrzymałem rozkaz rozwiązania oddziału i zostałem się sam tylko ze "Zgrzytem". Każdy kto odchodził broń zabierał ze sobą. Swój automat oddałem jednemu z chłopaków, który odchodził do domu zwolniony z oddziału. Zatrzymałem tylko pistolet i granat, podobnie postąpił "Zgrzyt", który zatrzymał pistolet. Broń oddałem w chałupie tego chłopaka. Jak zwykle był to bardzo nieprzyjemny moment. Był to koniec lipca albo początek sierpnia. Przypominam sobie, że robiono mi zdjęcie do dokumentów, więc zapewne takowe otrzymałem, chociaż tego już nie pamiętam. Jeśli były to oczywiście na "lewe" nazwisko. Dostaliśmy też niewielką zupełnie odprawę, kilka groszy dosłownie.

Jeszcze w Wilnie będąc umówiłem się z matką, że w razie czego - bo właśnie dołączałem do oddziału i nie było wiadomo jak sprawy się potoczą - kontaktować się będziemy przez mojego kolegę z politechniki, który mieszkał w Rawiczu, koło Poznania. Ja miałem jego adres i matka. Gdy byłem jakiś czas na kwaterze u członka organizacji "Bagneta" napisałem do Olka podając mój adres aktualny. Tak się złożyło, że matka w ramach repatriacji przyjechała do Białegostoku i też napisała do Olka, stąd też odwiedziła mnie nawet w czasie tej mojej partyzanckiej epopei. ^kurat tak niefortunnie wybrała dzień, że w czasie gdy rozmawialiśmy w jakimś domu zameldowano mi, że do wsi zbliża się obława. Matka udawała handlarzkę, miała o tyle ułatwione zadanie, że specjalnie w tym celu przywiozła ze sobą mydło, igły itp. rzeczy. Udało nam się wydostać z tych opaków bez kłopotów.

Po rozwiązaniu oddziału razem ze "Zgrzytem" wsiedliśmy w nocy do pociągu na jakiejś małej stacyjce koło Łomży lub Ostrołęki, w każdym bądź razie na linii warszawskiej, i nad ranem dojechalismy do Warszawy. ~~Tam~~ Stamtąd dostaliśmy się do Milanówka, noc spędziłem u "Zgrzyta". Następnego dnia, po zostawieniu u niego broni pożegnałem się z nim i pojechałem do Gdańska, gdzie była już moja matka. Po dwóch tygodniach wyjechałem na Śląsk, na Uniwersytet, by dokończyć studia. Miałem zaliczone 4 lata.

Na moje szczęście nigdy nie ujawniłem się, dlatego też nie miałem nigdy żadnych kłopotów z UB.

Przypomina^m sobie jeszcze, że nie podobała mi się nigdy łatwość z jaką "Bitny" pociągał za spust pistoletu. Nigdy nie miał żadnych wątpliwości. Z tą łatwością wykonywania wyroków kontrastowała jego pobożność. Potrafił śpiewać jakieś świątobliwe pieśni z otwartej książeczki do nabożeństwa. Nie przypominam sobie żebyśmy posia

dalidali Ryngrafy z Matką Boską. Tylko część oddziału była umundurowana. Podstawowy skład to było 20-30 ludzi.

Wtedy, w czasie tej naszej bitwy /Bodaki - J.K./ wojsko nie nacierało na wieś tylko ostrzeliwało nas. Gdy przerwaliśmy kordon obławy z ich strony nie było też tendencji do jego zamknięcia. Mimo, że droga była wolna, to jednak nie wszyscy chcieli się wycofywać, wielu było też rannych i wielu zabitych. Dlatego ta 30-to osobowa grupa została się we wsi. Rannych nikt już nie próbował ewakuować. Gdy szliśmy do natarcia wieś już paliła się. Już po wszystkim zobaczyłem, że mój płaszcz był postrzelany w kilku miejscach. Ci co zostali może bali się iść prosto na tak duży ogień. My, nasza grupa, to byliśmy zdecydowani na wszystko, bo wiedzieliśmy, że innej drogi nie ma.

Spisał Jerzy Kurok